ROK 1.

Nr 42.

WARSZAWA,

Dnia 8/20 Października 1866 r.



ZORZA

PISMO NIEDZIELNE DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 42 (Złp. 29 gr. 14).
Półrocznie . „ — „ 90 (Złp. 6).	Półrocznie . „ 1 „ 21 (Złp. 8 g. 2).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 42 (Złp. 16 gr. 4).
Kwartalnie. „ — „ 45 (Złp. 3).	Kwartalnie . „ — „ 60½ (Złp. 4 g. 1).	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można Zorzę: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiéj i we wszystkich Kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

O ZŁYCH NAWYKNIENIACH LUDU NASZEGO.

ZAZDROŚĆ. — ZABAWNA PRZYGODA JAKÓBA.

—Było to pewnéj zimy nietak zbyt dawno, w jednéj z wiosek naszych, mówił ksiądz Świętosław do swoich parafian, gdy młodzi gospodarze, nie przymierzając jak nasz Maciéj, młócili zboże w stodole. Dziedzic co i raz przyszedł do stodoły, popatrzał przez chwilę na młócących, to i owo zagadał i odchodził do swoich pokojów, gdzie sam mieszkając na wsi, nieżonaty, wciąż jedynie książki czytał. Raz zbliżając się do stodoły, zasłyszał, jak jeden z młócących prawił do innych.

— Bodaj to być panem! siedzi sobie w pokoju i czyta książki, i nic nie robi. I wyśpi się dobrze i naje się dobrych rzeczy, że aż oskoma człowieka bierze.

Wszedł na to dziedzic i żadnego nie rzekł słowa. Lecz na wieczór, kiedy omłocka się skończyła i wszyscy rozchodzili się do domu, on wezwał do siebie owego młokosa gospodarza, a przyzwawszy lokajów, kazał go zewlec ze wszystkich szat jego, umyć czysto w wodzie na srebrnéj miednicy, wyczesać, ubrać w świeżą i cienką koszulę, a kazawszy mu włożyć na siebie wieczorne ubranie, to jest piękny szlafrok turecki, kazał zasiąść mu w wygodnym fotelu, i zaczął z nim rozmowę. — A cóż, panie Jakóbie, życzyłeś sobie bardzo być panem, chcę ci zrobić tę przyjemność, będziesz panem, dokąd ci się tylko podoba. — Jaśnie Wielmożny Panie ... chciał coś wybełgotać Jakób. — Zakazuję ci tak mię nazywać, przerwie mu dziedzic, ja ciebie *panem* i ty mnie tylko *panem* nazywać będziesz, bo tak widzisz, mówimy sobie wszyscy w domach naszych. — Aleć jakiż ja tam pan? odpowie Jakób. — Dziś taki sam jesteś, jak i ja; tak się będziesz ubierał, jak

ja, to samo robić, to samo jeść będziesz, co i ja. — Gdzież ja tam — Jaśnie Wielmożny Panie, do takiego państwa stworzony, to jak wół do karety, rzeknie Jakób. — Takie dziś było twoje życzenie, jakie niechcący nadchodząc usłyszałem w stodole, a więc pokosztujesz życia pańskiego i jego przyjemności. Rób więc, jak ci każę. — Dziedzic oddał Jakóba pod ścisły dozór, jednego ze swoich lokajów, żeby czasem od tego państwa nie drapnął, i kazał mu tak jak sobie usługiwać i wszystko podawać.

Jakoż podano teraz obudwom tym panom fajki na długich cybuchach tureckich i tureckim tytoniem nałożone. Zapalił dziedzic, zapalono i Jakóbowi.

Palił on, lecz chciał spluwać na pokój, kiedy mu lokaj u drzwi zamykane ku temu ukazał naczynie. Co i raz przeto nasz Jakób wstawać musiał i tam chodzić.

Czytał pan książkę, kazał podać drugą Jakóbowi, który, że czytać nie umiał, siedział nad nią wieczór cały, a długi, bo zimowy, tem dłuższy, że dziedzic dopiero koło północy kładł się do łóżka. Jakób więc przez tak długi wieczór nudził się śmiertelnie.

Na wieczerzę podano herbatę, a lokaj podawszy dziedzicowi filiżankę herbaty i grzankę ocukrowaną, taką samą porcyę podał Jakóbowi. Zmiarkował już to państwo nasz Jakób i kręcić się zaczął, ale żadnéj nie było rady. — Wreszcie nadeszła godzina spania. Lokaj odprowadził Jakóba do jego pokoju, a tam rozebrawszy go z całą usłużnością, i położywszy w miękkiéj pościeli, zapytał, czy ma mu podać fajkę do łóżka? — Żebyś ty mi lepiéj podał miskę z kartoflami, odrzeknie Jakób; niech tam diabli porwą takie państwo; rzekło się słowo, zwyczajnie, jak się to człowiekowi zdarzy, nie namyśliwszy się, co mówi, a tu Pan wziął za prawdę i tak mię srogo ukarał. — Proszę Jaśnie Pana, powie mu lokaj, niech Jaśnie Pan diabłami nie sadzi, bo to nie przystoi Jaśnie Panu. — Czyś ty zwaryował? z jaśnie państwem! jam Kuba Wieczorek z téj wsi, a on mię Jaśnie Panem zowie. — Mam rozkaz tak z Jaśnie Panem mówić, jak z samym dziedzicem i tak mu usługiwać.

Jakób na dobre zrozumiał, że tu żartów nie ma; rad nierad położył się na piernatach, a przewracając się z boku na bok, długo bardzo usnąć nie mógł. Usnął nareszcie nieborak.

Lecz zgłodniały noc całą marzył tylko o jadle; widział pełne misy kartofli, barszczu, chleb razowy na stole, który zajadał z całą żarłocznością; lecz gdy się przebudził, czuł, że był o czczéj duszy i większy głód mu dokuczał.

Doczekał wreszcie dnia białego. Przywykły do rannego wstawania w tych betach i pościeli, wyleżeć nie mógł; pocił się biedak i trapił, lecz wstać nie można było, bo dziedzic spał jeszcze. Nareszcie koło godziny dziewiątéj, gdy słyszał, jak już na dobre od godziny odgłos młocki rozlegał się po podwórzu, a myślał, że tam wszyscy najedzeni z ochotą przybyli do pracy, i robią tak jak nic, i gwarzą i śmieją się, a on tu głodny i sam tęskni do ludzi, do swoich, i do miłych codziennych zatrudnień, to już prawie na płacz zbierać mu się poczęło. Koło godziny dziewiątéj na palcach wszedł lokaj do pokoju Jakóba, a widząc, że on już nie śpi na dobre, zapytał go. — Czy Jaśnie Pan życzy sobie już wstawać z łóżka, czy też jeszcze poleżeć sobie pragnie? — Powiedz mi, zapyta Jakób, czy to tak długo będzie, ja dali-Bóg dłużéj nie wytrzymam. — Na to Jaśnie Panu nic powiedzieć nie mogę; to samemu dziedzicowi wiadomo.

Rad nie rad wstał Jakób z łóżka, a dobrze usłużony przez lokaja, umył się w srebrnéj miednicy, przybrał w świeżą odzież, i znów w rannym szlafroku wyszedł do wspólnego salonu, gdzie już dziedzic nań czekał. Gdy wszedł Jakób, wstał dziedzic, podał mu rękę, a uścisnąwszy go lekko, zapytał: — Jakże się Panu spało? — Już nie chcę tego państwa, Jaśnie Wielmożny Panie, jam się chłopem urodził, to mi najlepiéj w tym stanie żyć i umierać. — Cóż znowu, to za prędko ci się państwo uprzykrzyło, któregoś sobie tak gorąco życzył; toć ledwie dwanaście godzin upłynęło, a już chciałbyś od państwa uciekać. A widzisz, my całe życie tak się bawimy, i tak używamy. Poczekaj trochę, może się Pan przyzwyczaisz, a ja ci daje słowo, że jak będziesz chciał, możesz tak zemną pozostać, choćby i do śmierci.

Podano kawę; jeszcze mniejsze filiżanki niż wczoraj do herbaty i znów po jednym sucharku. Za to przy kawie stała karafinka z wodą, a dziedzic wypiwszy szklankę, zapytał swego gościa, czy i on się nie napije.

Jakób tą razą dobrze się już znalazł i powiedział po dworsku: *dziękuję*. Podano znów fajki;

lecz tą razą i fajka naszemu Jakóbowi nie smakowała.

Po śniadaniu dziedzic wziął go pod rękę, i wyszli na gumno do gospodarstwa; zaszli i do stodoły, gdzie ochoczo parobczaki i gospodarze weseli młócili zboże.

Wszyscy zdziwili się, ujrzawszy Jakóba w takiem pięknem ubraniu i z panem za pan brat idącego pod rękę. On pobladł trochę z niedospania i głodu, i smutno spoglądał na wczorajszych swoich towarzyszów.

— Widzicie wszyscy, rzeknie dziedzic do włościan, że wczoraj jeszcze Jakób Wieczorek, włościanin, dziś jest mi we wszystkiem równym panem i chcę, żebyście go tak nazywali, i taki mu dawali pokłon jako mnie samemu. Chciał być panem i jest panem.

— Co Jaśnie Pan rozkaże, wypełnimy wszyscy, odrzekli chłopi.

Przeszedłszy tak po gumnie i stodołach obaj panowie, powrócili do pokojów. Dziedzic zwyczajem swoim zabrał się do czytania, a Jakób choć przed nim książkę położono, rozmyślać począł.

Mówił do siebie: oto masz państwo; siedzi sam jak mruk w pokoju; do nikogo słowa nie przemówi, tylko czyta i czyta. Toć już daleko raźniej pomiędzy nami: przy robocie zawsześmy weseli, zawsze rajcujemy to o tem, to o owem; to się roześmieje jeden z drugiego, to zażartuje i czas schodzi wesoło, że ani wiesz, kiedy na południe zadzwonią, lub na *anioł pański* na wieczór. Przyjdziesz do domu, to znów powie ci tam co kobieta, to dziecko przemówi, i posiedziawszy pomiędzy swymi, zjesz co Bóg dał, i zmówiwszy pacierz, kładziesz się spać spokojnie. Oj, mojéj biedy nigdybym za takie państwo nie zamienił! Głupstwo się rzekło i pokutować trzeba, bo z naszym panem trudna sprawa; jak co powie, to tak być musi.

Nudził się znów śmiertelnie nasz Jakób i wyglądał, rychło li na południe przedzwonią. Doczekał się tego; zadzwoniono, wszyscy od roboty rozeszli się do domów, on pozostał w pokojach pańskich. Nieprędko jeszcze lokaj do obiadu nakrywać zaczął, a jemu się djable jeść chciało. Myślał, że na obiad przynajmniéj dobrze sobie podje, i podpije, boć niepodobna, żeby tak panowie żyli i z głodu marli.

Położono dwa nakrycia: talerze porcelanowe, łyżki, noże i widelce srebrne. Z niecierpliwością Jakób poglądał na drzwi, którędy się obiadu spodziewał. Wszedł wreszcie lokaj i postawił na stole wazkę z zupą i zawołał na panów obudwóch, *już na stole.* Ruszył się dziedzic z krzesła, powstał i Jakób, a wskazawszy mu miejsce, zasiedli obadwa.

Z połowy kurczęcia zgotowano rosołek z kaszką, drugą połowę kurczęcia zostawiono na pieczyste. Po rosole podano na muszlach paszteciki z muszczków cielęcych; późniéj dano potrawkę z cielęciny; a na pieczyste drugą połowę kurczęcia. W końcu była jakaś leguminka z piany ze śmietanką, lecz i ta ckliwą się wydała Jakóbowi. Przy stole dziedzic nalał sobie i Jakóbowi po kieliszku czerwonego wina, i na tem się obiad zakończył. Po obiedzie dano kawę czarną w maleńkich filiżankach i fajki.

Nasz pan Jakób głodniejszy wstał od stołu, niż kiedy zasiadał, oglądał się na wszystkie strony, lecz nic mówić nie śmiał. Nareszcie dziedzic w te doń przemówił słowa: — No i cóż, panie Jakóbie, jakże ci się wydaje życie pańskie?
— O! Jaśnie Wielmożny Panie! bogdajbym go był nie znał i nie kosztował! — Powiedziałem ci, żebyś mi nie mówił: Jaśnie Wielmożny Panie, boś mi jest równy we wszystkiem, jak ja tobie mówię *panie*, tak i ty mnie mówić powinieneś.
— Gdzie téż tam kiedy, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana, chłop równym będzie. Ja nie mam ani tego wychowania, ani tego rozumu, żebym z panem mógł się mierzyć. — Ja ci téż chciałem dać poznać roskosze naszego państwa, któregoś mi bardzo zazdrościł, powie dziedzic. — Zazdrościłem, bom nie znał, ani wiedział; dziś kiedym się zbliska wszystkiemu przypatrzył i wszystkiego spróbował, za nicbym mojego stanu nie zamieniał. Człowiek wesół i rzeźki; praca w naszym stanie daje chleb i swobodę. Ej, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana, niech mię Pan już uwolni z tego zmartwienia. — Aleć przecież choć dwadzieścia cztery godzin nażywaj się tych rozkoszy naszych, tego dobrego jedzenia i spania, i tego żebyś nic nie robił, powie dziedzic. — Jaśnie Panie, wolę ciężko pracować, a pomiędzy swymi być, niż tak siedzieć bezczynnie. Jaśnie Pan nie pracuje rękami, to pracuje głową i czyta, i pisze, i rachunki prowadzi, i płaci każdemu, co mu się należy, a krócej śpi i mniéj jada, niżeli my tam na wsi. Nie zazdroszczę teraz nikomu jego wielkości i państwa;

rad przestaję na tem, co mi Bóg dał, a dał mi dosyć, kiedy mi dał zdrowie i siły do pracy na kawałek chleba dla mnie i dzieci. — Widzisz, mój Jakóbie, że nie wszystko złoto, co się świeci. nie wszystko dobre, czego my nie mamy, a pożądamy gorąco, bo jak co posiądziemy, to znów się nam niczem wyda. Każdy zaś stan ma swoje słodycze, ma i gorzkości swoje. Patrz nie na tych, którzy są nad tobą, ale na tych, którzy są niżéj ciebie. Nasz bajkopisarz ś. p. biskup Krasicki pięknie to wypowiedział w jednéj ze swoich bajek; wystawia tam człowieka, który skarży się na ludzi i na losy, że jest ubogim i bosym; wtem wchodząc do kościoła, spotyka żébraka, który jest bez nogi, kulawy, i kroku postąpić nie może; rzeknie więc do siebie:

Nauczył mnie tém bardziéj milczéć ten ubogi,
Lepiéj mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi.

— Święta prawda, odrzeknie Jakób, my zazdrościmy panom, którzy więcej mają; nam zazdroszczą komornicy i parobcy; a na nich gdy patrzy ubogi i kaleka, to znów woła: o gdybyć mi to Pan Bóg był dał zdrowie i siły do pracy, jakżebym to sobie nie żył wygodnie, a nie potrzebował do drugich ręki wyciągać!

— Widzisz więc, Jakóbie, że dał Pan Bóg jednemu mniéj, a drugiemu więcéj, aby jeden drugiemu usłużył, a przez to krzewiła się miłość pomiędzy ludźmi. Pan potrzebuje sługi, sługa potrzebuje pana; ubogi ogląda się na bogatego; bogatszy udziela uboższemu i obadwa mają zasługę u Boga. — Tak to, widać, Pan Bóg mądrze na świecie wszystko urządził, dodał Jakób. — Otóż widzisz, dopowie dziedzic, chciałem ci dać naukę, żebyś tak lekko o urządzeniu tego świata z woli Bożej nie trzymał. Nieraz wyda wam się przykry i poniżony i wzgardzony wasz stan u ludzi, a to nie prawda. Żyj każdy poczciwie i tak, jak ci Pan Bóg przykazał, to cię każdy uczci i poszanuje, a Bóg ci chleba i łaski swéj nie uskąpi. Idź więc teraz do domu, a to coś tu słyszał i widział i doświadczył, opowiedz innym, żeby i oni nie zajrzeli drugim czegoniebądź. W każdym stanie można znaleść szczęście i zbawienie, cześć i poszanowanie u ludzi.

Złożywszy odzież pańską nasz Kuba, aż cieszył się i radował, gdy się ubierał we własne szaty; przybrawszy się zaś po swojemu, skłonił się wdzięcznie panu, podziękował za tę naukę, która mu starczy na całe życie i czemprędzéj poskoczył do domu.

Na progu powitał z czułością żonę, jakby jéj sto lat nie widział; brał na kolana i całował jedno po drugiem dzieci, a cieszył się, że się już przecie to jego państwo skończyło.

— Cóż ci się to przytrafiło, mój Kubo, że cię pan u siebie zatrzymał? zapytała żona. — Tak tam wygadałem się, głupio: *bodaj to być panem*; a pan zasłyszawszy to, kazał mi swego państwa pokosztować. — I jakże ci się podobało? toć przecież nic nie robiłeś, a wyspałeś się miękko i smacznych potraw najadłeś się dosyta? — Dali Bóg nie wiem, czem to tam ci panowie żyją? odpowie Jakób a wszystko, co jedzą, mgłe jakoś i niesmaczne; żebym tam drugi dzień jeszcze pozostał, to chybaby z głodu umrzeć przyszło! Przekonałem się tylko zbliska, jak to w każdym stanie pracować trzeba.

Gdy tak Kuba z żoną rozmawia, dowiedzieli się sąsiedzi, a ten i ów przyszedł, żeby się wywiedzieć, co się stało z Jakóbem. Wszystkim on i wszystko opowiadał, a gdy nagadali się do woli, wszyscy rzekli: jaki to nasz Pan mądry; przez jednego Jakóba chciał nas wszystkich pouczyć, żebyśmy ani naszego niskiego stanu nie mieli w poniewierce, ani drugim zajrzeli jakiej niebądź wielkości i państwa.

Przypowiastka o Pawiu

(*Dla Zorozumiałych*).

Michał

— Czemu pawie tak nieznośne
Tym, co tylko uszy mają?

Wojciech

— Ha! bo nazbyt chcą być głośne, —
O swą pychę tylko dbają.
Paw' tak myśli; „*jam* wspaniały, —
Dziób posiadam dla swéj chwały.
Cóż? że krzyk mój drapie uszy,
Kto ma *pióra*, niech się puszy.

Michał

— To pyszałka! wiesz, Wojciechu,
Pawik taki wart jest śmiechu,
Jego pewnie i to gniewa,
Gdy inaczéj kto zaśpiewa?. . .

J. Gr.

WYJĄTKI Z PODRÓŻY

LUDOŻERCY NA WYSPACH OCEANII.

(Dokończenie).

Rozzuchwaleni powodzeniem czarni Rosselczykowie poczęli krążyć około małéj wysepki, gdzie zostawała reszta rozbitków w nowo urządzonym namiocie. Kilka strzałów wystarczyło do ich odpędzenia. Na drugi dzień o świcie Kapitan rozbitego okrętu „Święty Paweł“ popłynął z kilkunastu ludźmi dla odkrycia w okolicy śladów zaginionych towarzyszy. Ale ani jednéj żywéj istoty ani nawet trupa nie znalazł. Niebezpiecznie było czynić dalsze poszukiwania; bo raz że ludzi było za mało, a powtóre brakło rozbitkom kapinoszów; więc kiedy jeszcze poprzednio do dzikich strzelali, to musieli z kilku swych strzelb wykręcić kominki (brantki) i dopiero lonty przykładać do prochu. — Kapitan przeto powrócił z poszukiwań na wysepkę, naradził się z Chińczykami, a potem z jedenastu swymi francuskiemi majtkami puścił się w podróż morską na łódce, aby dopłynąć do jakiéj angielskiéj osady w Australli i tam wynaleść okręt, któryby zabrał wszystkich rozbitków. Chińczykom odstąpiono pozostałe z rozbitego okrętu zapasy, a sam na łódź zabrał tylko kilka skrzynek z suszonemi owocami i zapas słodkiéj wody.

Łódką tą odbył trzystomilową, niebezpieczną podróż; płynął przez kilka tygodni, straciwszy kilku marynarzy zmarłych z głodu, rozpaczy i wycieńczenia. Wreszcie po wielu dniach straszliwych cierpień, przy braku żywności i wody do picia, żywiąc się gdzie niegdzie zabranemi na jakiéj dzikiéj wysepce owocami, postanowili na jednéj z nich noc przepędzić i nieco wypocząć po trudach ogromnych. Ale nad ranem łódź im z brzegu zniknęła, a ich samych otoczył oddział dzikich krajowców i zabrał do niewoli. Przepędzili w niéj cały tydzień, nie ponosząc wszakże żadnych prześladowań; wyspiarze ci bowiem byli łagodniejszymi od Rosselczyków. Nareszcie śród smutku i tęsknoty do ojczyzny, ujrzeli pewnego dnia zdaleka na morzu okręt z angielską banderą; dając mu różne znaki z brzegu, zwabili go do wyspy. Dowódzca tego okrętu wykupił ich z niewoli, ale nie śpieszył się z odwiezieniem ich do francuzkich kolonij, gdyż był zajęty poszukiwaniem żółwich skorup u brzegów wysp przyległych.

Nakoniec okręt ten przybył do Port-de France w Nowéj Kaledonii 25 Grudnia 1858 roku. Ztamtąd wyprawiono okręt wojenny dla zabrania rozbitków. Cała załoga wesoło zaśpiewała pieśń marynarską, nareszcie dopłynęli do koralowéj wysepki, gdzie szczątki okrętu „Świętego Pawła“ sterczały jeszcze na mieliznie. Ale na wyspie żadnego śladu żywéj istoty; spostrzeżono tylko podarty namiot, dwa pnie drzewne wydrążone i dwóch trupów przysypanych drobnym zwirem; resztki skorupiaków, pieczone na ogniu, zdawały się słażyć za pokarm rozbitkom. —Zanocowano u brzegu wysepki. Nazajutrz równo z brzaskiem dowódzca kazał spuścić łodzie z uzbrojonymi ludźmi, w których liczbie był i Kapitan rozbitego statku „Święty Paweł“ i wylądowano na wyspie Rossel. „Zrazu spostrzegliśmy, pisze ów Kapitan, u brzegu na dwóch pirogach sześciu krajowców, ale ci zaraz uciekli w gęstwinę lasu; wkrótce potém ujrzeliśmy nagiego człowieka stojącego po pas w wodzie, a który znać, bojąc się krzyczeć, dawał nam różne znaki porozumienia. Zbliżyliśmy się i poznali, że to był mały Chińczyk, który zaraz rzucił się w moje objęcia. Pierwsze jego wyrazy, które wyrzekł po angielsku, były; „Wszyscy zginęli“ a potem objaśnił nas jeszcze, że tylko czterech jego towarzyszów ocalało; między niemi był cieśla okrętowy, którego tak sobie upodobał jakiś naczelnik dzikich, że dla przyozdobienia go, przesunięto mu, śród wielkiego bólu, kostkę przez nozdrza; jego zaś, Chińczyka, także jako wybranego ulubieńca swego kazał tenże naczelnik ustroić w bransoletę i naszyjnik, które jednak zerwał zaraz, jak tylko się począł bespiecznym w naszéj łodzi. Popłynęliśmy potém rzeką w głąb' wyspy ku wiosce, za wskazaniem Chińczyka. Dzicy uzbrojeni w dzidy spostrzegłszy go, zaczęli zdala przywabiać, nęcić różnemi oznakami, aby pozostał z nimi, a sami nie dali się niczém przywabić, i oswoić, a nawet podnieść nie chcieli rzuconych im na ziemię pięknych bawełnianych wyrobów, fajek i tytoniu, którego wcale nie znali. Naprózno też przez Chińczyka żądaliśmy wydania czterech naszych nieszczęśliwych towarzyszów. Odpłynęliśmy więc od nich i zatrzymali się u brzegu strumyka, gdzie

to niegdyś urządziłem obozowisko po rozbiciu okrętu. Tu ohydny widok przedstawił się oczom naszym. Stosy odzienia i warkoczów Chińczyków były dowodem pomordowania tych nieszczęśliwych! Przewrócony pień drzewa służył za miejsce, na którém kładziono szyje ofiar. Nędznicy wyrywali Chińczykom warkocze jeszcze za życia, potém zabijali uderzeniami dzid i pałek i dzielili między sobą drgające jeszcze kawałki ciała. Stało się to tak:

Zaraz po odpłynięciu mojém na łodzi z wysepki koralowéj, dzicy zaczęli do Chińczyków podpływać na swych pirogach i łudzić ich miganiami zapraszać na ziemię, gdzie jest woda i pożywienie. Ale Chińczycy głusi byli na ich przynęty; wodę deszczową ściekającą z namiotu zbierali w dwa owe wydrążone drzewa, a morskie skorupiaki piekli na węglach i prócz tego mieli jeszcze resztki zapasów z okrętu. Niedługo jednak wyczerpały się zapasy i gromady skorupiaków; deszczu też długi czas nie było. Nastał głód, i już dwóch Chińczyków z głodu umarło; wtedy to najodważniejsi z nich, albo może najbardziéj zrospaczeni, przystali na chytre zaproszenia dzikich. Ci nie chcieli i nie mogli zabrać więcéj na swój piróg jak tylko po trzech Chińczyków, których według żądania odwozili na miejsce dawnego obozowiska. Ale jak tylko przybyli, zaraz ogromna zgraja czarnych wyspiarzów wypadała z zarośli i w okropny sposób ich zabijała, pastwiąc się i bijąc na śmierć kijmi, żeby było kruchsze mięso, którém się potém dosyta objadali. W ten sposób po kolei zamordowali wszystkich, a krzyki ofiar nie dochodziły do małéj wysepki. Czterech tylko zaoszczędzili, ponieważ naczelnicy dzikich przybrali ich za synów.

Opuściwszy ze zgrozą ślady mordu, pisze daléj Kapitan, popłynęliśmy rzeką na kilku łódkach w głąb‘ lasu. Przed wsią, gdzie wznosił się słup dymu, ujrzeliśmy jakiegoś człowieka siedzącego na wierzchołku drzewa, zaraz też zostaliśmy powitani strasznem wyciem i gradem kamieni, które nam jednak nie szkodziły. Strzelb naszych ukrytych w łodziach nie używaliśmy, bośmy wciąż jeszcze chcieli wymódz na dzikich uwolnienie czterech naszych towarzyszów. Próżne były jednak nasze starania i płynąc daléj napotkaliśmy bardzo liczną zgraję czarnych wyspiarzów.

Tą razą nie odbyło się bez kilku sińców zadanych kamieniami bazaltowemi naszym towarzyszom; natychmiast pochwyciliśmy za broń naszą ukrytą na łodziach, a składającą się ze strzelb, pałaszów, siekier i pistoletów. Strzały jednak nasze nie szkodziły napastnikom ukrytym po za drzewami; ze zmrokiem wszystko ucichło, i wkrótce powróciliśmy do naszego parowego okrętu.

W nocy słyszeliśmy krzyki i głosy jakby trąb, które dzicy wydawali, dmąc w konchy. Na wybrzeżach wyspy zabłysnęły ognie; były to oznaki jakichsiś wojowniczych zamiarów. Zrobiliśmy nadedniem nową wyprawę do drugiéj wsi dla odszukania naszych czterech towarzyszów; ale dzicy stali się nieubłaganymi; owszem, otoczywszy nas z jednéj strony, obrzucali mnóstwem twardych i ostrych kamieni; szcześciem, że nie znali procy, wyrzucone więc rękami nie szkodziły nam bardzo, bo tylko dwóch nam majtków lekko ranili. Z drugiéj strony inna zgraja nad brzegiem rzeki wyjąc piekielnie, kręciła się dziwacznie i wywijała dzidami, a kobiety krzycząc przeraźliwie uderzały gałęziami w wodę rzeki, jakby dla zachęty swych mężów do boju. W tenczas każdy z nas pochwycił za broń, poczęliśmy strzelać w kupę przeciwników, a mała armatka ukryta na jednéj łodzi z ogromném echem po lesie raziła granatnikami dzikich, którzy głównie przestraszeni hukiem działa w nieładzie pierzchnęli. Wtedy 20 naszych wyskoczyło na brzeg, splądrowało opuszczoną wieś i okolicę, lecz tylko prócz kupy odzienia Chińczycków zamordowanych, któreśmy z sobą zabrali, żadnego śladu czterech towarzyszów nie mogliśmy napotkać. W zapale gniewu dowódzca okrętu kazał jedną i drugą wieś spalić, i był to jedyny możliwy odwet za tyle mordów. Wkrótce ze smutkiem opuściliśmy wyspę Rossel i powrócili do angielskiego miasta Sidney znajdującego się na wyspie Nowéj Holandyi.

ROZMOWY OJCA Z DZIECMI O FIZYCE.

(Ciąg dalszy.)

NAPISAŁ **Julian Bajer.**

O ściśliwości, twardości, sprężystości i podzielności ciał.

Helena: Nauczyłeś nas, kochany ojcze, co to jest *Fizyka*, co to jest *ciało*, i powiedziałeś, że

każde ciało mo dwie konieczne własności, któremi są: *rozciągłość i nieprzenikliwość*. Pierwsza znaczy; że każde ciało ma swój kształt, to jest, że jest długie, szerokie, wysokie albo głębokie lub grube; druga znaczy, że dwa ciała jednocześnie nie mogą się znajdować w jedném i tém samém miejscu. Daléj wytłomaczyłeś nam, co to jest *dziurkowatość*, *massa*, *gęstość*, tudzież podałeś nam stosunki, które pomiędzy objętością, massą i gęstością zachodzą; obeznałeś nasz przezroczystością ciał, a teraz co nam daléj powiesz?

Ojciec. Z nieprzenikliwości i dziurkowatosci pozostaje *ściśliwość*; to jest taka własność, że ciało zajmuje mniejszą objętość, gdy jest od jakiéjś siły zewnętrznéj naciskaném, lub uderzaném, ale przytém nie traci nic ze swéj massy. W ciałach stałych, mających widoczną dziurkowatość, ściśliwość jest znaczna: ściskając *np*. korek, drzewo, uderzając młotkiem grubą skórę, widzimy, że w tych miejscach, w których skóra jest ściśniona, pory się spłaszczają, a ściany coraz się bardziéj zbliżają do siebie. Metale nawet, u których pór gołem okiem nie dostrzegamy, odmieniają swoją objętość przez ściskanie lub kucie. Są ciała, które, chociaż mają widoczne pory, ścisnąć się jednak bez skruszenia nie dają, dla stężałości cząstek swoich, takiémi są: żużel, pomeks, lawa, i t. d. i te zowią się *kruchémi* albo *twardémi*.

Są ciała, które ścieśnione, zostają w téj nadanéj im raz objętości i kształcie, a przynajmniéj widocznie jéj nie zmieniają, *np*. glina, wosk, te zowią się *miękkiémi*,—inne znowu wracają do swojéj pierwotnéj objętości i kształtu, *np*. sprężyna stalowa, gwint szruby z drutu zwiniętego, kauczuk i t. d.; te ostatnie zowią się *sprężystémi*.

Wspomnieliśmy o ciałach twardych, ale tę ich *twardość* różnie uważać możemy. I tak, mówimy, że ciało jest twarde, kiedy uderzone nie łupie się; ścisnąć je w palcach lub nagiąć nie można, albo też nie daje się skrobać paznokciem, pilnikiem, albo jakiém inném ostrém narzędziem. Pospolicicie uważa się takie ciało za twarde, które jakiemukolwiek ciśnieniu znaczny opór stawia, ale ten opór nie jest zawsze jednakowy, szkło *np*. krającemu narzędziu opiera się, gdy tymczasem łatwo się kruszy od uderzenia młotkiem; toż samo powiedzieć można o dyamencie i rozmaitych kamieniach. Mówiąc o twardości jakiego ciała, trzeba wskazać sposoby, którémi twardość ta dochodzona była, czyto piłowaniem, krajaniem, tarciem, szlifowaniem i t. d. Podług tego powiémy, że szkło jest twardsze od marmuru, ponieważ go rysuje, ale kryształ górny jest twardszym od szkła dla tego, że je nim rysować można; dyament zaś jest najtwardszy z pomiędzy znajomych ciał, dla tego że nie może być szlifowany czém innémi, jak tylko własnym swoim proszkiem.

Nadmieniliśmy, co to są ciała sprężyste, dodajmy teraz, że *sprężystość* ciał, jestto usilność, mocą któréj każde ciało ściśnione dąży mniéj lub więcéj do powrócenia do swojéj pierwotnéj objętości i do swego pierwotnego kształtu. Kula marmurowa, albo zesłoniowéj kości, rzucona na podłogę i o nią uderzona, piłka do grania uderzona o mur, nie mogłyby inaczéj odskoczyć, tylko że zostawszy ściśnione przez uderzenie, usiłują natychmiast odzyskać swoją pierwotną objętość i swój pierwotny kształt.
Wszystkie ciała posiadają mniéj lub więcéj sprężystości, mianowicie ciała twarde są najbardziéj sprężyste, ciała zaś miękkie są najmniéj sprężyste. Żadne ciało nie posiada w wyższym stopniu téj własności jak powietrze i światło. Dosyć na dzisiaj.

Stefania. Ależ, ojcze, miałeś dziś jeszcze mówić o podzielności ciał.

Ojciec. Dobrze, to wam powiem.

Podzielnść. — jest własnością ciał dzielenia się na coraz drobniejsze części bez ograniczenia, tak dalece, iż nigdy nie możemy przyjść do tak drobnych cząstek, aby można powiedzieć, iż te nie mogą być przynajmniéj jeszcze w myśli, na drobniéjsze podzielone. Każda bowiem cząstka najmniejsza, na któréj już najdelikatniéjsze fizyczne lub chemiczne kończą się działania, musi mieć swoje sześć ścian, któremi jest ze sześciu stron ograniczoną, póki tylko jest materyalną. Zapuszczając się myślą nad tą nieograniczoną podzielnoscą ciał, to ona nie może się oprzeć jak tylko na jedném z tych dwóch przypuszczeń, albo cząstki pierwotne fizyczne ostateczne, z których się ciała składają, muszą być już więcéj niepodzielne, albo materya jest podzielna bez końca. Cząstki powyższe domniemane niepodzielne, a jednak rozciągłe i materyalne, zowią się *atomami*, do których przez

doświadczenie nigdy dojść nie można; za tém domniemaniem idący, albo raczéj używający tego sposobu tłomaczenia się do objaśnienia zjawisk i praw fizycznych, zowią się *atomistami*, jakimi są uczeni francuzcy, angielscy, i większa część uczonéj Europy. Tych, którzy się trzymają drugiego mniemania, a na czele których stoją uczeni: Euler, Kant, i t. d. zowią *dynamistami*, to jest utrzymującymi, jak się wyżéj rzekło, że ciało jest podzielne bez końca. Dziesiąta część grama (1) miedzi rozpuszczonéj w kwasie saletrowym, z przydaniem do niego cokolwiek amoniaku, farbuje całą kwartę wody miękkiéj na kolor niebieskawy. Gdybyśmy tylko dla łatwości rachowali 10 cząstek na jeden millimetr, co jest bardzo mało, jeden centymetr mieć będzie takich cząsteczk 100; centymetr kwadratowy mieć będzie 10,000, a centymetr sześcienny 1,000,000; ponieważ więc kwarta ma centymetrów 1,000, więc zafarbowany płyn musi w sobie zamykać cząstek widzialnych kolorowych 1,000 milionów, na które 1 decygram miedzi został podzielony. Pięcią centygramami złota, wielkości główki od szpilki większéj, można pozłocić walec srebrny, wagi 18 gramów, który razem z pozłotą swoją może być wyciągniony na nić cienką i spłaszczoną, w któréj znajduje się 960 milionów cząstek gołem okiem widzialnych, a nić ta wszędzie jest dobrze pokryta złotem, co dowodzi nader wielkiéj jego ciągłości i gęstości. Nici takich srebrnych i złotem pokrytych używa się na zwyczajne galony.

Nierównie jednak bardziéj jest podzielne piżmo, którego jeden gram wydawać może zapach przez kilka lat; w mieszkaniach nawet przewietrzanych.

RÓŻNE RÓŻNOŚCI.

Skąpy chory i skąpy doktór. Pewien skąpiec, co zawsze obywał się bez doktora, bo to, jak mówił, kosztuje, a pieniędzy niema, zmuszony był nareszcie wezwać go w niebezpiecznéj chorobie. Wrzeczy saméj choroba była niebezpieczna, i tylko biegłość i pilność doktora uratowała skąpca do niechybnéj śmierci. Wyzdrowiał zupełnie. Trzeba doktora wynagrodzić nawet wtedy, kiedy chory umrze, a temci bardziéj wypada uczynić to przez wdzięczność za ocalenie życia. Gotów był skąpiec okazać należytą wdzięczność, ale nie pieniędzmi. Jakiż więc obrał sposób? Oto, wziąwszy dwanaście butelek od wina szampańskiego, nalał je wodą, zakorkował, oblał smołą i położywszy wszystkie znaki takie, jakie bywają na najlepszém winie szampańskiem z Francyi przychodzącém, posłał doktorowi. Myśl jego była taka: doktór jest skąpy, a więc ani sam się nie napije, ani kogo nie poczęstuje i pewno butelki do piwnicy schować każe. Tak właśnie stało się. W sześć lat dopiero po śmierci doktora, gdy napić się chcieli za duszę ś. p. doktora, znaleźli zamiast szampana wodę. Niktby nie wiedział o pochodzeniu tego trunku, gdyby nie stara gospodyni doktora, która pamiętała od kogo nieboszczyk pan dostał to wino.

Zdania Króla Stanisława Leszczyńskiego (*)

Prawda jest jak słońce, które zasłonić może na chwilę zaćmienie, lecz zniszczyć jego światła zupełnie nie zdoła.

Zazwyczaj ludzie nieoświeceni pocieszają się w swéj nieumiejętności, mianując nieużytecznem to wszystko, czego nie znają.

ZAGADKA.

Co to jest?

Co kosztuje coraz drożéj,
A świeci się coraz gorzéj,
Co nam wkrótce wzrok oślepi,—
Fabrykanci! róbcież lepiéj.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki. — *Głowa i twarz* z jéj częściami.

(1) Funt rossyjski równa się 409, gramom francuzki. Linja nasza równa się 2 milimetrom.

(*) Król Stanisław Leszczyński panował w Polsce pierwszy raz od roku 1704 do 1709, drugi raz obrany królem r. 1733. opuścił kraj 1736.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert. — w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.